

Rozdział II

Słodkim jadem się sącząc. Ból niewiadomy. Słodka krew w ustach
Wypalenie znaku żarem na skórze. Przeleciało mi przez głowę. Zakolatało
myślą nie moją. Otrząsnąłem się, choć dłoni jego otrząsnąć z siebie nie mogłem.
Ciężar ich opadł na me ramiona jękiem zamkniętych w nich pokoleń
wynaturzeń, chorób umysłu i duszy, płonących lodem lobotomii, ścisłu
gardła imadłem strachu. Wszystko, wszystko przed moimi oczami.
Zawirowało w chaosie. Zakręciło ścianami.

Tyk, tyk, tykanie zegara i nic i cisza. Spokój. Otworzyłem oczy, profesor Fether
siedział przy biurku, pijąc parujący czaj z filiżanki białej porcelanowej
przyglądał mi się uważnie. Doktor Tarr stał za mną. Lekko z boku, tak żeby
go ujrzeć głowę musiałem na prawo skręcić.

- Boli mnie głowa - wyszeptałem niewyraźnie spierzchniętymi ustami,
popatrzyłem bezradnie to na jednego to na drugiego.

- Przedstawiam Profesora Fethera - wskazał ręką Doktor Tarr - Panowie nie
mieli chyba jeszcze przyjemności.

- Ja, ja, ... my już się chyba spotkaliśmy - przywołałem z pamięci to
przedziwne zdarzenie gdzieś w podziemiach, choć wtedy przecież go
dokładnie nie widziałem. Ale jakieś wyobrażenie stamtąd, tak jakby teraz się
zmaterializowało, tuż przede mną, na wyciągnięcie ręki.

- Nie możliwe, Profesor, dziś nad ranem dopiero powrócił z sympozjum
w Karls Bad - szybko zareagował doktor Tarr - Nie wiem, czy Pan wie, ale
Profesor jest jednym z znakomitszych hipnotyzerów na Starym
Kontynencie. Sławą dorównuje tylko wielkiemu Freudowi z Wiednia.
A dodam Panu jeszcze, że to Profesor jest twórcą księgi twarzy.

- Nie, nie wiedziałem - odparłem na głos, a w głowie, w potoku myśli
niewyjaśnionych, choć przecież przed przybyciem czytałem, starałem się
zdobyć jak najwięcej informacji. Zresztą Freud, czy tu chodzi o tego Freuda,
twórcę psychoanalizy, myślałem gorączkowo, a ta księga twarzy, czy to nie
o niej mówiliśmy pierwszego dnia?

- Bardzo interesuje nas Pański przypadek - odezwał się siedzący przy biurku.
Głos miał matowy, bez wyrazu, lecz głęboki. Z wyglądu był
przeciwieństwem Tarra, tęższy, nie po prostu tęgi, o owalnej
zaczerwienionej twarzy jak u dopiero co narodzonego dziecka, małych
świńskich oczach i zupełnie bez żadnego owłosienia na wielkiej czaszce.
Ubrany w angielski surdut podróżny. Choć koloru fioletowego materiału
i żółtego szerokiego krawatu, nie potrafiłem umieścić na żadnej znanej mi
wystawie sklepowej, nawet tej ze sklepów cudzoziemskich, zamorskich co na

ul. Głównej w taki zachwytyt wprawiwały tłumy bezkopieskich spacerowiczów.

- Zbadaliśmy Pańską historię.

- Zaraz, jak ...? - chciałem zapytać.

- Obserwowaliśmy - kontynuował profesor - i ... jesteśmy mocno zaniepokojeni, ale to mocno zaniepokojeni.

- Wydaje nam się, że trafił Pan do nas w ostatnim momencie. - wtrącił się z troską w głosie doktor Tarr, a jego dłonie zacisnęły się jeszcze bardziej na moich ramionach - Czy nie odczuwał Pan jakiejś potrzeby? Czy coś Pana nie gnało tu? Jakiś przymus ... głos, ktoś?

- Ale ... ja, przecież tu przyszedłem sam - przerwałem próbując bezskutecznie podnieść się z fotela.

- Tak oczywiście - kiwnęła wielka łysa głowa tuż przede mną. Różowy balon wypełniony dobrymi chęciami. By po chwili cofnąć się za wielkie biurko.

- Ja, ja piszę książkę - próbowałem przeczuwając jakiś obrót maszyny, kół zębatych w moją stronę - ja mam referencje. Ja tu na urlopie. Ja ... - plątałem się coraz bardziej.

Dwie pary silnych rąk, które się niespodziewanie przy mnie pojawiły, chwyciło pod pachy, zwlekło z fotela, pociągnęło przez drzwi w korytarz. Jeszcze kątem oka zdążyłem spostrzec dwie postacie moich rozmówców stojące obok siebie na wyciągnięcie skrzydlatych ramion, drgające jakby w nagrzanym powietrzu, unoszące się nad linią horyzontu mego, coraz bardziej bezkształtne krogulce dachu świata strzegące. A korytarz na wysokości kolan autorów tej rozmowy, a nogi z waty z tyłu powlekające, goniące szybki marsz kroków chwiejnym spojrzeniem. Z pamięci na moment, chwilę zagubioną wypełzła twarz Sylwii, teraz, z perspektywy w jakiś sposób mi znajoma, czyż nie tak jak ja, wyciągniętej z pokoju i prowadzonej jeszcze przecież tak niedawno gdzieś w głąb tych czeluści, murów drwiących z słońca, zamkniętych osobowości wielorakich. Z poziomu niskiego spojrzenia, tuż na wyciągnięcie ręki relief, ta płyta nagrobna, co pierwszym śladem niepojętego w tych murach dla mnie była, pulsowała głębią jakąś, nocą ciemną, drwiną z rzeczywistości. Słowa z reliefu mrocznego, łacińskie czy włoskie, gdzie już na końcu języka chybczące mi uparcie, już się otwierające w znaczeniu przedziwnie dla mnie zrozumiałym, choć obcych języków nigdy nie pojąłem wystarczająco, już, tuż, zaraz usłyszałem szepcząc ustami:

„W życia wędrówce, na połowie czasu, zniesiony stopą w obłądne koleje, pośród ciemnego znalazłem się lasu.”¹⁰

¹⁰Alighieri Dante – „Boska komedia”

Ciągnięty dalej poczułem jak sens czy bezsens sentencji tej umyka, gubi się w doznaniach następnych, pozostawiając niedosyt bezsmaku poznania. Niczym ta księga twarzy rozchylana co krok, w tę pustkę głuchą i ślepą. Ciągnięty dalej i dalej. Korytarzem z szeregiem drzwi, uchylonych, prowadzących gdzieś do sal otwartych, zamkniętych, które istniały tylko dla sobie znanego celu śmierzących dezynfekcją ścian i umysłu. Po białych kaflach piwnic, splukiwanych lodowatą wodą utrzymania porządku i znów piwnicznymi korytarzami.

O próg w poprzek drogi sanitariusz się potknął, ja na kolana padłem, on za mną jak drzewo ścięte podmuchem nagłego wiatru, ja zerwałem się pierwszy, biec, biec, uciec, w jakieś drzwi skręcić, pchnąłem, wpadłem, sala w białych kaflach, stanąłem, drzwi za sobą zatrzasnąłem szybko, stanąłem, w ciszy, stanąłem, oddech uspokoiłem, nikt za mną, żadnych kroków pospiesznych, cisza, wody z kranu pod ścianą kapanie w biały metalowy zlewozmywak, gdzie w bezładzie metalowe, srebrne narzędzia, noże, dłuta, wybieraki jakieś pozostawione. Na podłodze walające się w bezładzie czynności uśpionych: ssaki, kleszcze, po kątach aparaty do znieczulenia, napędzane siłą ludzkich rąk przy pomocy korby metalowej.

Na środku sali pod wielką lampą bezcieniową na stole, czy też łóżku co koła żelazne cztery na styku z podłogą trzymało twardo, białe prześcieradło nierówności skrywało. Kto? Co? Przybliżyłem się, rękę w powietrzu nad zawisłem, dotknąłem krawędzi prześcieradła, szorstkie, podniosłem powoli, powoli. Twarz smukłą i bladą zobaczyłem, oczy zszarzałe szeroko otwarte jeszcze spojrzały w strach mój, bym poczuł i poczułem gdzieś za mną i we mnie szept w szkatułce śmierci zamknięty:

*Na twarzy zaległo białe prześcieradło
wciska się w szeroko otwarte oczy
tak usilnie
jeszcze
wypatrujące*

*na twarzy zaległo białe prześcieradło
skroplone atomy tlenu
spływają
stygające
powietrza nie starczy by dzielić się z tobą*

*na twarzy zaległo białe prześcieradło
zakneblowało usta
krzykiem niemym
nie usłyszysz*

więc zapomnisz

Mój strach, czyż istotny w obliczu oczu zszarzałych, a kiedyś może skrzących się promieniście, a kiedyś może ciemnych, czarnych wręcz może, lecz słońcem żyjących? Padłem na kolana zdjęty niczym z krzyża, bezsilny, dłonią wyciągniętą, palcami ścisnąłem krawędź prześcieradła, która stała się otwartymi drzwiami między nią a mną. Wejrzeniem jeszcze raz. Chciałem dać znać, sygnał wysłać tam skąd głos, ta pieśń fado rozbrzmiewająca mi w uszach głosem Ameli Rodrigues wtedy, gdy na deskach teatru miejskiego zobaczyłem ją po raz pierwszy i jedyny, choć przecież to nie możliwe, rozdierająca, przejmująca z oddali, zasnuła obszar niczyi między jawą a snem zapadając płatkami martwych róż w mój umysł, serce trwożnie bijące.

Wyłamali drzwi, wtargnęli, krokami wybili szybki rytm wściekłości, po mojej głowie, w niej, mnie, z kolan podnieśli, śmiecia, pluskwę niewartą splunięcia, wywlekli, powlekli, przewlekli przez dziurkę od klucza, na łóżko rzucili, związali skórzanym pasem, igła długa jak nóż rzeźnika wprawnym palcami żyłę przebiła, drzwi z hukiem zatrzęsły, bez słowa, bez słowa, bez słowa.

A ja jeszcze, tylko mogąc gałkami w strachu ruszać, gdzieś spod oczu, z pamięci tamtych oczu, jej oczu, tak szeroko otwartych, słowa usłyszałem rozpaczą pisane, szeptem przerywanym brakiem uciekającego powietrza, w pośpiechu mówione:

*W porcelanowej szkatułce zamknęła całą siebie
taką delikatną
niewymownie kruchą
w białej sukni
zwiędła czerwona róża
ciernie zniewoliły ostatni uśmiech
nie pukaj
nie podważaj wieka
serce ze szkła pękło*

Nim ... zgasło słońce moje, moja ciemność mnie objęła.

Oczami półzamkniętymi spojrzałem w światło żarówki nade mną zawisłej sznurem wisielczym. Bezlitości ostre. Zabolalo. Oczy zamknąłem żaluzjami powiek. Dłoń chciałem podnieść, zatrzymana siłą na szorstkości prześcieradła, pasem skórzanym tylko palcami słabo ulotne powietrze dotknąłem. Przez klatkę piersiową pas gruby przełożony, ja nieuruchomiony. Nogami chciałem, lecz na kostkach też pasy klamrami ściągnięte. Wyobraźnia to tylko moja czy rzeczywistość? Jeszcze raz oczy

powoli otworzyłem, głowę przekrzywiłem na okno kratami dzielone. Niebo dzielone. Nie mój to był chyba pokój, obcy pokój. Nieznany.

- Coś trzeba Profesorze zrobić.
- Leczyć systemem, naszym systemem.

Przymknąłem oczy.

- Niepokoi mnie jego stan. Czytałem jego zapiski...

Otworzyłem oczy.

- To co się wydarzyło, wydarzy się znowu. Obserwowanie ptaka na uwięzi ...

Język z trudem przesunął się po kamienistej pustyni warg.

-Przeczytam Panu coś:

*Nie opowiem tobie o upadku
ani powstaniu
nie wezmę za rękę
nie wyrwę serca by dać je na dłoni
ja przedmiot
w ekstremach pustych rozmów syczących nienawiścią
nie znam uczuć wzniostych
a myśli gardzą moim umysłem
skorupę brudu wyhodowałem
odcinając się od tych wszystkich którzy wiedzą lepiej
odpychający
odrażający
dozgonnie wdzięczny losowi
za szaleństwo którym mnie obdarzył*

- To z jego dziennika?
- Tak, choć nie mam pewności, czy to jego słowa, czy nie ...

W uszach narosło mi buczenie much, wypełniające brudem skrzydeł przestrzeń słyszalną.

- A jak ktoś zapyta?
- Nie zapyta.

Jeszcze tylko oddalające się kroki usłyszałem ...

Otworzyli mi oczy metalowymi kleszczami chwytając spuchnięte powieki. Rozwierzili spojrzenie. Leżałem nadal na łóżku pasami skórzanymi związany, bez możliwości ruchu. Oddechem nerwowym czerpałem strzępy powietrza. Oczy miały patrzeć przed siebie na sufity biel. Usłyszałem terkotanie gdzieś za sobą, by po chwili migający obraz nade mną rozpostarł się znakami. Z projektora smuga światła. Reflektor z wieżyczki więziennej w moje życie:

„Mam dziesięć lat, słońce w tamtym roku jest wyjątkowo gorące, wyjazd na lotnisko, czas spędzam z nimi, ona nieobecna, wózką przykuta do tarasu i ptaków w koronach drzew, pisze, wciąż pisze w kajecie ołówkiem, mówi na to dziennik i mówi, że pisze od jedenastego roku życia. Jego, to jest ojca – nie widzę. Po sąsiedzku mieszka młody malarz, maluje wielkie obrazy wykraczające poza okno, w którym go podglądam, ciemne, bolące czymś nieokreślonym, ale patrzę nie mogąc, nie potrafiąc uciec, wchłaniany tym mrokiem zachłannie. Cień obok szepcze mi do ucha, że malarz za kolejne dziesięć moich lat wyskoczy z okna stając się nietem. Matka kiwa głową ptaka bezskrzydłego, dziobiąc rozsypane na dłoni koraliki różańca. Bez skrzydeł nie osiągnie niebios – szczyt głoś migoczący na ścianie izolacji. Sufit, ściany. Później ktoś dał mi jego czarne farby, wymalowałem nimi pokój i okno na podwórzu otoczone murem. Jedynie błękit nieba zostawiając w resztkach spojrzenia”.

„Błysnęło, syknęło przytłumionym lekami głosem matki, koło czasu turkocząc zachłannie przetoczyło się łamiąc moje wytrzeszczone oczy. Źrenice zatrzymały jej obraz na chwile, lecz pamięć usunęła w pośpiechu”.

„Oczy, twoje oczy, oczy pełne smutku w tych chwilach przeblysków, gdy filiżanka z ciepłą herbatą znaczy więcej niż garść tabletek”.

„Tramwaj szoruje zgrzyt torów w środku mroźnej zimy. Podjeżdża czerwony na przystanek. Patrzę przez płatki opadającego śniegu. Stać powinienem na przystanku z nimi, wszak jedziemy na wigilię, namiastkę radości w oczach dziecka, w tamten stan wojny bez bajek, ale z żołnierzami ogrzewającymi się przy koksownikach na martwych skrzyżowaniach ulic. Zapatrzone w zbliżające się jedyne światło na torach, na mnie sunące tak powoli, tak pięknie przez płatki, wyciągam rękę by złapać matki dłoń, by pokazać, jak się toczy światło na mnie, macham, macham pustką w mroźnym powietrzu, kryształkach lodu marznącego w ustach krzyku, nie ma jej, nie ma, macham, światło, w środku tramwaju już widzę w żółtym blasku lamp szare twarze przylepione, śnieg tańczy przede mną, zgrzytanie mrozu o szyny, krzyk z oddali zawiesza się nad obłokiem pary, zamarza i spada ciężarem na

dziecka ramiona, szarpie, zrywając jasną smugę ciepła, światła daną mi i zabraną gwałtownie.

Stoję w ciemności siebie i czasu, obłoki pary w ustach krzykiem, głową bezładnie szarpaną uderzam w powietrza mur – kamień i metal gięty. Mur, mój pierwszy mur. Wznoszący się niebotycznie, że nawet błękitu przez moment nie widzę.

W twoje dłonie schowaj mnie.

W twoje dłonie schowaj mnie.”

Przekręcili coś w szczypcach by oczy projektorem obraz ostrzejszy na ścianę, sufit rzucały, jęknąłem bólem źrenic nie chcących oglądać. Jaskrowość ty zgubna, bezlitosna. Odwarknęli medyczną wiedzą wstrzykując we mnie łagodność baranka prowadzonego na rzeź, baranka na krzyżu bezwiednie w zachwycie tłumów ukrzyżowanego, baranka księcia małego, łagodnego, niewinnego baranka.

- Proszę narysuj mi baranka

- Co takiego?

- Narysuj mi baranka.

Baranka w pudełku rysuję, siebie schowanego.

„Znów zima, ostatni, jedyny wyjazd, gdy ona na parę miesięcy odzyskuje siebie a my ją, a on przybiera maskę pełną troski, śnieg zalega wokół, skrzy się srebrzyście w blasku gazowych lamp, późna noc, jestem już jednym z niewielu narciarzy, którzy nie wrócili jeszcze do rozświetlonego schroniska wśród alpejskich świerków. Drewniane deski wykonane w prowincji Telemark, łączone brzozy poskręcane korzeniami z butem skórzanym. Mój jedyny wyjazd poza miasto. Z głośników, wielkich tub na słupach podłączonych drutem do gramofonu, rozwieszonych wzdłuż trasy zjazdowej słyszę muzykę, przenika ciszę zaległą nad pagórkami ludzkich drzew splątanych konarami obłędu toczącego je zamasyście wtłaczając w najgłębsze jary w matce Ziemi. Walka gestów, mnie przeciwko mnie, trąby jerychońskie, tętent koni, ryk bombardujących dwuskrzydłych aniołów, krzyk miast i patrzę w górę, gdzie chmury się rozstępują, srebrząc się milionowymi gwiazdami. Muzyka przycicha, skrzypce prowadzą, gwiazdy się śmieją, wirują, tańczą. Odbijam się kijkami od lodu skuwającego, zjeżdżam omijając połacie wychłodzonych spojrzeń. Atomowe serce bije, bije dla mnie. Śpiew kobiety przez smutek jej oczu dociera do mnie, mam tylko piętnaście lat, ale jej oczy dalekie. Bicie atomowego serca, szukać w podrózach, szukać wśród gwiazd, na wyciągniętych dłoniach. Jej oczy, wiem, pozostaną. Gramofon tubami wciąż gra tę samą suitę, wszak to 23 minuty poza czasem i przestrzenią.

Wjeżdżam i zjeżdżam, wjeżdżam i zjeżdżam gwiazdami nade mną i jej oczami we mnie błękitem fiordów."

Zerwali mi kleszcze z wytrzeszczenia, zamknęli oczy, wyłączyli projektor, bym nie widział ciebie. Włożyli w bezpieczeństwo snu pustego. Snu bez snu. Snu martwego. Wyłączyli.

Dnia następnego albo któregoś, czyjeś ręce pchnęły mnie pod zimnej wody prąd. Przeszył mnie od głowy po stopy stojące na butwiejącym drewnianym podeście w brudnej wodzie sięgającej kostek. Ręce oparte o ścianę, w rozkroku kazali stać, twarzą w ścianę patrzeć. Zgrabiały mi palcami tarłem rdzawe plamy na żółtych kaflach. Prosząc je o ucieczkę mnie w inne przestrzeni obszary. Prąd wody orał moje plecy. Ściśnięte zęby, ściśnięte serce nie pompowało coraz zimniejszej krwi, drgawkami spazmu dusząc. Szmata do wytarcia w twarz rzucili.

Obudziłem się promieniem ostrym słońca w oku. Przy mnie, na krześle obok łóżka siedziała siostra w czarnym habicie. Gładziła mnie z początku łagodnie po poliku. W dół i w górę. Paznokciem palca wskazującego. W górę i dół. Poczulem jak ostrością jego wgryza się w moją skórę. Niepohamowanie. I coraz mocniej w górę i w dół, aż cienka struga krwi. Odsunąłem się. Nie znałem, nie pamiętałem tej osoby, odsunąłem się. Wstała, rozprostowując poły habitu. Wskazując w milczeniu na ubranie. Ta sama pidzama. Wstałem z łóżka zawijając nagość prześcieradłem. Patrzyła bez słownie. Ubierałem się, patrzyła. Jej oczy nie mówiły nic poza jakąś chorobową ciekawością entomologa obserwującego robaka, wyrrywającego kolejne odnoże, by poczuć solidarność z bólem natury.

Zaprowadziła pustym korytarzem do łazienki. Czy można wejść do tej samej rzeki, kloaki? – zastanawiałem się przekroczywszy próg – odrapane, z nalotem żyjących nieregularnych plam ściany, ciekące krany rdzawo, kałuże czegoś.

- Nie chce ..., nie mam potrzeby – spróbowałem czyniąc krok wstecz. Wzruszyła ramionami, ale nie, myliłem się, że odpuszcza, wyciągnęła rękę, z pod rękawa habitu wyciągnęła dłoń z palcem mnie wskazującym czerwienią krwi mojej pod paznokciem jakby z dumą przechowywaną. Palec z oskarżeniem mego istnienia, wycelowany w twarz. Cofając się, cofając, o podest zbutwiały potknąłem się, padłem na ścianę, zsuwając się brudem kafla w kałużę ... w sen duszny zapadłem.

*Tryptyk okien sączy szarość
W bezdusznosc mrocznych ścian
Wyrosłych z jej bólu*

*W jej bólu poczętych
Szarość nie niesie nadziei
A okno kusi twardym brukiem*

Zbudziłem się, oczami błądziłem, ścianami patrzyłem, sen mój, jej sen jakby śniący we mnie, jej – więc kogo? Okno co w bruk zimny, prześcieradło szorstkie palcami ściszałem nieświadomy, czoło potem, źrenice szeroko, taflą łez słonych, podniosłem się, łokciami wsparłem, oddech powoli wracał, krew wzburzona zwalniała biciem chorego serca. Cisza panowała, półmrok rozświetlony lampą z korytarza. Chciałem się podnieść na kolana, do okna, by tamto okno dojrzeć, co w pamięci mej tak utkwilo i ze snem przecież tym przed chwilą jakiś związek musiało mieć. Lecz słabością zdjęty tylko palcami tynk ściany obłaskawiłem, lecz wznieść się nie mogłem. Padłem twarzą na poduszkę. Chłód jej, lecz zasnąć już nie mogłem. Obraz ten w głowie słowami tamtymi skreślony, w oknie widziany, ścianą drapany wtedy pod łóżkiem i ta ona tam w tryptyku okien może ...

Kim jest? Kim ona?

- Jak się ma nasz kochany pacjent? – z zamyślenia wyrwał mnie głos siostry, która precyzyjnie właśnie przez drzwi wózek inwalidzki – no co wstaniemy i pojedziemy na śniadanie – dodała

Popatrzyłem na wózek wysłużony, o kołach drewnianych, skrzypiących latami obłędu. Popatrzyłem na siostrę, którą widziałem pierwszy raz, dość tęgą, w starszym wieku, sprawiającą wrażenie raczej sympatycznej. Podała mi szlafrok, którego wcześniej nie zauważyłem. Widząc, że nie mam siły wstać, pomogła mi i jakoś wspólnymi siłami usiadłem na wózku. Z trudem przejechaliśmy przez drzwi pokoju.

- Nie jedziemy na stołówkę? – zapytałem, gdy zamiast w prawo, skręciliśmy w stronę toalet i drzwi wyjściowych z naszego oddziału. Minęliśmy toalety, siostrę strażniczkę siedzącą chyba jak zawsze za biurkiem, wzrokiem wbitym w jakiś punkt na ścianie. Otworzyła drzwi poprzez skomplikowany system zasuw i zamków. Stanęliśmy na krawędzi schodów, na krawędzi stopni w dół.

- Co ...?! – krzyknąłem, gdy ona pchnęła wózek przed siebie, stopniami w dół, głową w dół, dół w ziemi, wykopany, szpadlami opartymi o uschnięte drzewo, sześć stóp w dół, sucha ziemia, prawie piach, przesypany się przez szprychy drewnianych kół, palce moje co grabią niebo w konwulsji czekania, usta zasypywane słowami bez znaczenia, okupione moje niedopasowanie, piach w oczach, nie mam łez, choć czytam z pogniecionej kartki:

*„Niech staną zegary, zamilkną telefony,
Dajcie psu kość, niech nie szczeka, niech śpi najedzony,*

*Niech milczą fortepiany i w miękkiej werbli ciszy
Wynieście trumnę. Niech przyjdą żałobnicy”¹¹*

To mój głos nad trumną, stare drzewa wokół bezlistnie szepczące, ciężkie chmury nabrzmiałe milczeniem nieba, roztopiony śnieg błotem złudzeń. Trumna prosto zbita, przecież nie moja, ojca mego zapadniętego w siebie, przygniecione dniami. Słyszę głos wydobyty ze mnie w ostatnim i jedynym pojednaniu, choć już bez znaczenia, za późno, gdy szpadle piach sypią w koła wózka co korytarzem długim jechał, drzwi mijał, ze słońcem się mijał, w cieniu cieniem przemykał.

A wszystko nadaremno. Ni ja zostałem prokurentem bankowym, ni on dostrzegł sens w życiu swym. Ni on, ni ja. Ni on, ni ja. Obracały się koła drewniane. Surowe miny pruskiego wychowania. I jeszcze ona gdzieś pomiędzy piach w szprychy wierszami sypiąca. I jeszcze ona w niemodnych sukienkach kwieciście rosnących. I jeszcze ona taka być musiała, w pomiędzy czasach nieobecności swojej tu, a obecności tam - w swoim świecie.

*I ty tu jesteś, ty, o rekach
co tak gotycki maja rys
i piękna jesteś jak jutrzienka
w swoich sukienkach z marche aux puces.¹²*

W biegu tym senno – jawnym kołami wózka w dół rozpoznałem twarze. Z pod ściany, ścianą oparty machnął mi dłonią Franciszek, gestem nieśmiałym, złęczonym, po czym rozejrzał się z przestraszeniem. Inni zerkali z ciekawością na mnie jadącego, ale tak ukradkiem, z ukrycia, by nie spłoszyć gołębi, co dojrzałem na parapetach mijanych okien po drugiej stronie krat. Przejechaliśmy obok Iana wczepionego wysiłkiem zsiniałych palców w siatkę dzielącą światy w oknie. Nie zauważył zamknięty w sobie, sobą, a może tą która straciła kontrolę pochłonięty. Czuję się zmęczony, przytłoczony, pustką jakąś wyjałowionymi myślami.

- To tylko w głowie, to tylko dziecko w twojej głowie – za pleców usłyszałem głos siostry pchającej wózek, jakby mówiła rzecz najbardziej oczywistą na świecie, taką prostą, zewnętrzną, absolutnie mnie przecież nie dotyczącą.

Nie chciałem myśleć, chciałem jeść, spać bezsennie, jeść, spać bezsennie, jeść, spać bezsennie. Czy wariat może wiedzieć, że jest wariatem? Czy można stanąć na zewnątrz i powiedzieć to nie ja? Kołatało się we mnie, wałąc na oślep o ściany umysłu, tłoczące się ze wszystkich stron pomiędzy chęcią ucieczki

¹¹ fragment: Wystan Hugh Auden - Funeral Blues

¹² Stanisław Staszewski – „Bal kreślarzy”

w proste czynności jak spanie i sen bezseny, a udowodnieniem sobie zdrowia psychicznego w pierwszej jedynej instancji mojego ja. Jeszcze te sny senne, otrząsnąłem się na ich wspomnienie, przeszyty chłodem strachu z krtani płynącego. Siostra dosunęła mój wózek inwalidzki do stołu, przy którym siedzieli już Jerzy, Edgar i Franciszek. Gdzieś uleciał swobodny nastrój rozmowy jaki miałem w pamięci. W zasadzie rozmowa ograniczała się do zdawkowych uprzejmości, przy podawaniu sobie dzemu. Wzdrygnąłem się jakoś tym stanem. Wyczuwałem ich ukradkiem rzucane spojrzenia. Nie potrafiłem odkryć co się w nich kryło: ciekawość, współczucie, wrogość, przygnębienie. Zresztą, czułem opadające na mnie przygnębienie, jakimś niewidzialnym całunem, ciężkim, spod którego nie ma wyjścia by wypełznąć na słońca blask. Nie ma wyjścia pukało w mojej głowie chorobliwie. Nie ma wyrwania poza mury własnego muru.

*„Like a bird on the wire
Like a drunk in a midnight choir
I have tried in my way to be free”¹³*

Zaszorowało po zwojach umysłu, żydem z dalekiego Montralalu, tą moją dziwną przypadłością nasuwania się zasłony gdzieś zasłyszanych słów, dźwięków, obrazów, bezwiednie, nagle, paraliżując twardą realną ocenę rzeczywistości, pogłębiając osąd siebie jako jedynie przedmiotu obserwacji, nieistotnego punktu w skowycie świata, molocha ...

*„Moloch! Moloch!
Niewidzialne przedmieścia!
Skarbce szkieletów!
Ślepe metropolie!
Demoniczny przemysł!
Upiorne narody!
Nieusuwalne domy wariatów!
Granitowe chuje!
Monstrualne bomby!
Poskręcali karki wynosząc Molocha do Niebios!
Bruki, drzewa, radia, tony!
Podnosząc do Niebios miasto które istnieje i jest wszędzie wokół!
Wizje! omeny! halucynacje! cuda! ekstazy!
Sny! adoracje! olśnienia! religie! okręty wrażliwego tajna!
Przełomy! rzeczne! uniesienia i ukrzyżowania! zmyte powodzia!
Odurzenia! Świta Trzech Króli! Rozpacze!
Dziesięcioletnie zwierzęce wrzaski i samobójstwa! Umysty! Nowe miłości!*

¹³Leonard Cohen - Like a bird on the wire (fragment)

*Pokolenie szaleńców! osiadłe na skałach Czasu!
Prawdziwy święty śmiech w rzece! Widzieli to wszystko! dzikie oczy! święte!
Żegnali!
Skakali z dachu! w samotność! powiewając! niosąc kwiaty!
Do rzeki! na ulicę!¹⁴*

Strzepnąłem z siebie tę wizję jakimś ostatnim wysiłkiem, zmasałem z twarzy rozbiegany wzrok, czyniąc obraz zwartym. Dłonie przestały zaciskać krawędzie stołu. Spojrzałem po twarzach, szukając. Spojrzeli, czy to złudzeniem czy nie, dostrzegłem, że oni wiedzą, wiedzą. A przecież skąd mogli ...?

- Ona jest – wyrwał mnie Edgar niespodziewanie z duszenia siebie przez własne ja.

- Co mówisz? – nie będąc pewien co usłyszałem, zapytałem.

- Tam jest, też sobą splątana. Poczułem to tak silnie, całym sobą, 29 stycznia 1845 roku, podczas pierwszego publicznego odczytu „Kruka” w salonie literackim mojej przyjaciółki Anne Lynch Botta.

- Co ..., w którym roku?

- Czytałem „Kruka”. Publiczność dopisała licznie, choć zdawałem sobie sprawę, że to dla powabów, wielkiej kultury właścicielki salonu i walorów towarzyskich, niż dla mojej poezji. Ale, tak jak gdzieś głęboko czułem, że muszę ten poemat napisać, tak wtedy tam w salonie mimo strachu i niezdarności swojej, czułem że muszę go przeczytać. Czytałem powoli, a obraz nabierał kształtu. Wraz z kolejnym „never more” poczułem ją, poczułem tuż obok i nie wiedziałem, co jest bardziej realne ten salon i ja czytający, czy też ta noc i „ogień, co dogasał w mękach, siał na ziemię legion zmor.”¹⁵

- Mów dalej – przywarłem do jego słów, czując jakąś bliżej niepojętą określoność siebie w tamtych zdarzeniach.

Gdy nagle poczułem ręce na ramionach, silne, zbyt silne, by opór stawiać. Pochwycili, dlaczego? Opierałem się, opierałem, coraz słabiej. Pociągnęli korytarzem. Jeszcze kątem oka spostrzegłem, jak łapią Edgara i ciągną gdzieś. Białe habity sióstr przesunęły się na wysokości mojej łowy. I znów w pokój mnie wrzucili. Drzwi zamknęli. Samego pozostawili, ale już nie skrzepowanego, jakże tak wolnego? Rozejrzałem się po pokoju, który zaczął mi się już bardziej jawić jako cela moja, więzienie, do którego o ironio sam dobrowolnie przyszedłem. Podeszedłem do drzwi, zamknięte były. Na stole, tu się mocno zdziwiłem, leżał mój zeszyt. Przekartkowałem, strony się zgadzały, dziennik nietknięty kończył się wpisem ostatnim jaki pamiętałem. Więc skąd

¹⁴ Allen Ginsberg – Skowyt (fragment)

¹⁵ Edgar Allan Poe – Kruk (fragment)

w głowie mej to wyrywanie kartek, gubienie, skrywanie w ścianach, dziurach w podłodze? Ołówek dobrze zatemperowany czekał na kolejne zdania. Nie, jeszcze nie teraz. Usiadłem na łóżku, dłonie zbieleły siłą krawędzie łóżka zacisnęły. Ze mnie jęk się wydobył. Uchwycić się czegoś, czegokolwiek pewnego. Pod łóżkiem! Wpełzłem pod nie, przez kurz i pajęczyny, rękę wyciągnąłem do ściany tam, gdzie mi się przecież niedawno słowa objawiły, a później ponownie gdzieś w głowie wypłynęły. Palcami zacząłem wodzić po gładkiej ścianie, styk z podłogą badać. Nic. Ściana gładka. Żadnego śladu. Żadnego. Wyczołgałem się, jeszcze bardziej niepewny siebie. Okno. Wszedłem na łóżko, z zwiniętej poduszki podciągnąłem się jakoś, ręce wsparłszy o parapet. Tam przecież tryptyk okien, po przeciwnej stronie, już na piętrze strychowym. Ręce wyprostowane słabe drżały, stopy w powietrzu. Oczy zmrużyłem, gdyż blask słońca odbitego od blaszanej połaci dachu. Nic przez to ujrzeć nie zdołałem. Ręce nie wytrzymały, opadłem na łóżko. Ścianą twardą się wsparłem, nogi podkurczyłem, rękoma kolana objąłem. Bardzo niepewnie. Jak zakleszczony w niemocy samego siebie, poczułem jak płynnie się wszystko przeze mnie przewala. Na przemiennie, jakbym w dwóch światach był, nurtem bezimiennym, bez początku, bez końca, nie jednym, splątanym. I w głowie poczułem muzykę i nie swoje słowa, lecz jakże moje.

*Brak jednej rzeki
Płynącej z gór do morza
Po której można by
Żeglować łodzią
Żeglować łodzią.*

*Szczyt, który widzę w oknach
Zastania ciągle mgła
To co nie jest tym
Staje się tym
Staje się tym*

*Nie będziesz wiedział
Gdzie są twoje drzwi
I mosty które nie splatają klamrą twojej rzeki
I znowu ktoś przestawił kamienie
I znowu ktoś przestawił kamienie.
Kamienie...¹⁶*

¹⁶ Grzegorz Kaźmierczak, Variete – „I znowu ktoś przestawił kamienie”

Z lat zapadłych, wpełzła mi do głowy, a może z niej wypęzła piosenka, której przecież nie czułem w sobie i wokół, nie słyszałem próbując żyć w ciągu zdarzeń, przykładnie, zgodnie z wykresami nieustającego wzrostu sprzedanych masek obłudy, codziennych odpraw zadowolenia z siebie i firmy. Teraz, patrząc z perspektywy łóżka, okiem zwróconym do środka, z perspektywy niebytu, braku czegokolwiek pewnego, gdzie tylko jeszcze ja, jedyny przedmiot zdarzeń – ja, choć czy ja jeszcze istnieję? Czy tamta rzeczywistość może też tylko wytworem mojej fantazji? Kamienie, ściana, dotykam więc one są, a cała reszta? Może nie istnieje. Ale co znaczą słowa Edgara? Przecież, to chyba Jerzy mówił coś podobnego. A może to nie on? Nie wiem, nic nie wiem.

- Jest samo południe – z zamyślenia wyrwał mnie głos siostry stojącej w otwartych drzwiach.

- Tak? – spojrzałem niepewnie na nieznaną mi twarz w rogowych okularach.

- Znów to samo – popatrzyła na mnie z wyrzutem, podsuwając mi szklankę z mętnie wirującymi jeszcze drobinkami substancji jakiejś – od miesiąca, co drugi dzień prowadzę ciebie chłopcze do doktora Tarr. Znów nie pamiętasz? Nic nie odpowiedziałem bojąc się nadciągających konsekwencji.

Wcisnęła mi szklankę, nakazując szybko wypić. Próbowałem cokolwiek odczytać z jej twarzy, oczu. Od miesiąca? Nie chciało mi się już myśleć, wstałem z łóżka pełen zwątpienia. Apatycznie krokami stanąłem, czując jak ołów ciężarem kajdan wokół kostek każdy krok znaczy. Tuż za drzwiami na wózek inwalidzki bez słowa mnie usadziła. Głowę spuściłem, nikogo widzieć nie miałem, a może nie chciałem, kukłą bezwolną w działaniu leku się stając.

Znów korytarzami, przez drzwi, klatką schodową, do windy (tu jest winda odnotowałem gdzieś na skroniach kroplami potu), co zamknęła metalowe drzwi, skrzypieniem zjeżdżała, bardziej towarowa niż osobowa, szaro pomalowanym metalem zgrzytając, w piwniczny korytarz, który obojętnie mijałem i już nie myślą pytałem siebie o obecność czy też jej brak na tej drodze. A jakimś, może nie swoim, sztywnym językiem uwięzionym smakowałem wciąż na nowo metaliczny smak czegoś co w wodzie rozpuszczone mi podano. Rozglądałem się po ścianach niedbale białą farbą pokrytych, lamp samotnych w długim tunelu z sufitu jak sznur z gwoździ zwisających, czy hakiem rzeźnickim z niebytem na trwale związanych.

*Skrzyj na mrozie łańcuchu mój
lodowaty wietrze oplataj ciało me
słońce już mi niepotrzebne
wiosna nie nadejdzie
uśmiech kota Alicji nie opuszcza z
astygłej mimiki*

*patrzę na was z góry swego królestwa tak szeroko otwartymi oczami
tańczę bezwiednie łańcuchem z hakiem rzeźniczym związany
a wy tam w dole tacy radośni
pijani tłumnie przybyłą odwagą
martwe świątynie z obłudy wznieśliście
czule mnie kochając.*

Wynurzyło się ze mnie niespodzianie, jakimś echem z pustych źrenic się zapisało, utkwilo w pamięci obrazem pejzażu z szubienicą. Tam, w tym pejzażu pochlebców poklepywania i czule kochania w drodze na szczyt.

- Co Pan nie powie? – przede mną siedziała wielka postać Profesora Fethera, już bez swej pstrokatości stroju podróźnego, jaką zapamiętałem, a w bieli fartucha lekarskiego – Pejzaż szubienicą, powiada Pan?

- Tak to Pan nazwał? – dopytywał, a ja czułem, jak resztki racjonalności ulatują ze mnie.

- Więc? – popatrzył na mnie swymi wielkimi rybimi oczami spod okrągłych okularów.

- Ja ... ja nie wiem skąd, dlaczego to powiedziałem.

- No właśnie to próbuję ustalić od przeszło godziny – wycedził, wysyczał dobrotliwie, ale jakoś chyba może nie do końca. Pochylił się nad biurkiem, opierając cały swój ciężar na ramionach, a jego palce kręciły powoli młynka, wstał podszedł do regału zastawionego księgami. Wybrał, jedną bardzo starą na oko, przekartkował.

- O jest – wyraźnie się ucieszył tym tłustym uśmiechem woskowej twarzy - niech Pan spojrz, to jedna z kronik naszego zakładu, ta rycina przedstawia właśnie „Pejzaż z szubienicą” Pietera Bruegela. Później zwanego Starszym, a długoletniego naszego pensjonariusza. Nie sądzi Pan, że to dość osobliwa zbieżność?

- Zaraz, jak to, o ile pamiętam, to ten malarz żył w XVI wieku, a Maison de Sante powstał w XIX wieku? – uchwyciłem się znów jakiegoś strzępu rzeczywistości powiewającego coraz bardziej rozbieganymi oczami na lodowatym wietrze.

- Oficjalnie, ale historia znacznie, znacznie starsza. Wie Pan ludzie od zawsze zmierzali do takich miejsc, miejsc, gdzie można znaleźć sobie podobnych, a jednocześnie się ukryć pod rozdwojoną osobowością. Ja im to tylko umożliwiłem. Więc? - Profesor z siłą tarana wrócił na koleiny naszej rozmowy.

- Ja już nic nie wiem Panie Profesorze, o wszystkim chyba już musiałem mówić – czułem jak znów głos mi drży.

- Tak, mam wszystko spisane, już Pan mówił, już Pan pisał w tym Pana dzienniku. Ale jedyną drogą do wyzdrowienia jest uświadomienie sobie

swojej winy. Tu każdy ma swoją księgę twarzy. Czy Pan to rozumie? Czy Pan rozumie, jak to jest ważne?

- Winy, ale przecież, przecież ...

- Wiem, wiem. Przyszedł Pan do nas w celu zebrania materiałów do książki, Pan jest absolutnie zdrowy - pokiwał wielką głową patrząc mi prosto w oczy, a raczej swoim spojrzeniem w mój umysł.

- No właśnie, ja chcę stąd już wyjść, ja tak dłużej nie mogę ...

- Oczywiście, co Pan powie na jutro?

- Jutro? – nie mogłem uwierzyć.

- Przecież mówię. Nikogo nie trzymamy na siłę. Choć według mojej wiedzy, sam Pan rozumie ... Tylko jeszcze parę papierków wypełnimy, parę podpisów zbierzemy i jutro na wieczór będzie Pan poza naszymi murami.

Zadzwoił naciskając jakiś elektryczny przycisk na biurku, do tej pory przykryty moim zeszytem, dziennikiem obserwacji. W drzwiach od razu pojawiła się siostra. Była to ta sama, która wprowadziła mnie tu pierwszego dnia. Widok jej nappełnił mnie niczym przecież nieuzasadnioną nadzieją na powrót do normalności. Chciałem być normalny, wrócić do normalnego, poszatowanego życia. Poszatowanego?

Nie, nie ja nie chcę już myśleć, chcę wrócić za to cholerne biurko pełne słupków sprzedaży, tabelek kreślonych dla istnienia samych siebie, konkretnie nie konkretne, na czterech nogach krzesła siedzieć i uśmiechać się w sposób wymuszony, wyćwiczony. Ktoś podnosi rękę małpka skacze, ktoś opuszcza rękę małpka siedzi. Nie, nie chce. Ale to przecież lepsze, chyba lepsze, z pewnością lepsze. Od ósmej do szesnastej, bezpiecznie, bez uśmiechu i bez grzechu, ale powtarzalnie, bez niespodzianek. Przecież sztuczne, ale w ramach, byt określa świadomość, warte tyle co ostatni dzień, ty jesteś warty tyle co ostatni dzień, jesteś nic nie warty. Ale może nie, no przecież że nie, bo przecież pieniądz nie śmierdzi, bo coś za coś.

- Ale jeszcze jedno - Profesor ciężko podniósł się od biurka - tylko - ściszył głos nachylając się nade mną - jeden warunek, nie, nie warunek, w zasadzie przyjacielska rada - chwycił wielką dłonią moje ramię - musi Pan absolutnie, ale to absolutnie przestać pisać. To Pana niszczy, to Pana zabija. Po co to Panu? Pisarzy słynnych i znanych mamy od groma, a o poetach nie wspomnę. Ci wszyscy artyści, popękane serca i tak w końcu trafiają tu, trafiają do mnie. Nie lepiej jak przykładowy obywatel, rano wstać, zjeść śniadanie, pójść do pracy, nakarmić kota, obejrzeć w kinie jakiś łatwy, przyjemny film. Nie szukać dna, a pływać tylko w miejscach wyznaczonych. Robić coś na czym Pan się zna i robi to od dwudziestu lat.

Odwróciłem się w stronę wąskich ust szepczących, podniosłem wzrok. Przecież w tym momencie byłem mu w stanie wszystko obiecać, byle tylko stąd wyjść. No bo przecież chciałem, chyba chciałem, być może chciałem.

- Ma Pan Profesor absolutną rację - wstałem z krzesła, jakby chyba wbrew trochę sobie, jakąś siłą zewnętrzną, gdzieś na granicach świadomości odczuwalną, ale przecież już się nie dziwiąc łatwością słów ze mnie się wydobywających, bez żadnych zaciśniętych zębów cedzących z trudem słowa, marzeniem stojącym kością w gardle. Jakąś lekkością, ulgę zaczynałem odczuwać. Rękę wyciągać do tego mojego dobrodzieja, by uścisnąć prawicę, by jeszcze raz solennie obiecać.

Nagle zaszeleściły strony zeszytu, co na biurku leżał, jakby wiatrem tknięte. Przekartkował się i otworzył niespodziewanie. Profesor Fether spojrzał, uniósł brew, ja spojrzałem, siostra stojąca w drzwiach spojrzała.

- Przeciąg - już chciał skwitować mój rozmówca, już chciała siostra zamykać drzwi, gdy jeszcze jakiś nowy niespodziewany znikąd podmuch zrzucił ołówek, którym przecież pisałem wcześniej, a który między stronami leżał, tocząc się pod regał z książkami teraz pospiesznie.

Zdało mi się, że Profesor tym też zaskoczony, zdziwienia nie kryjąc na twarzy. Klęknąłem, padłem, ramiona, dłonie, palcami ołówka pod regałem szukając. A on jakby się dalej toczył, od ściany odbijał i znowu na nią się toczył, odbijał i toczył. A przecież podłoga raczej równa, a przecież ..., jakby siłą uderzenia kierunek jaki wskazywał. W końcu zmęczony, wyczerpany pod kątem prostym ściany z podłogą równolegle się zatrzymał, taniec ten przedziwny kończąc. Podniosłem, spodnie z kurzu otrzepałem. W jednej ręce zeszyt zaciskając, w drugiej ołówek, stanąłem twarzą w twarz z Fetherem.

- Więc? - warknął wyraźnie zły tym nieoczekiwanym, pozbywając się tym samym całej swojej jowialności.

Poczułem, jak dłonie zaciśnięte, splatają się martwymi przedmiotami, bo cóż ołówek i zeszyt, czy też nie ...? Pnączem się raczej płaczą, bluszczem zielonym, ogrodu cieniem i słońca jaskrawością i oknem, spojrzeniem w nim zamkniętym.

I poczułem jak w głowie, cegła po czerwieńszej cegle umysł racjonalny jeszcze murem, zasięki buduje, wieże obronne rzeczywistości strzeliste, na sto sążni albo więcej głębokie studnie, bez dna przecież. Umacnia rubieże rzeczywistości, miastem staje, powietrzem, garnitur ubiera, krawatem wiąże, mankietem koszuli maszeruje równymi krokami, procedurami, metodykami przystrzyga włosy pod schemat, kariery uściskiem dłoni - fałszywe, fałszywe wszystko, fałszywe krzyczą pnącza zielone, bzu na murach kwieciste porastanie, pnączy się wspinięcie w tryptyk okien, okna krzyczenie, tęsknoty wołanie, wołanie, ścianami ograniczone, czekające, w oczach

I położyły się znowu szorstkie dłonie ojca na mnie, do ziemi przycisnęły ramiona, zgarbiłem się nieba nie czując, do gwiazd nie lecąc, a on leżący całymi dniami na szezlongu w rogu pokoju, żałując siebie, wpatrzony w punkt na suficie, do którego nie dotrze. I trzyma mnie mocno, i ja staję się

nikim, coraz bardziej odległym od jego wystukanego tępym dłutem w marmurze oblicza. Choćbym stał się nim i dźwigał portret jego pośmiertny.
- Więc? - powtórzył zirytowany Profesor.

*Bez ciebie
jestem tylko ciałem spękany
żalem w ciemności
i jeszcze tylko róża twoja na mnie
przypomina mi że kiedyś żyliśmy*

Usłyszałem w sobie, lecz czy mylić się nie mogłem?

Czy to ten bluszcz oplatający zaszumiał, czy to gwiazdne niebo ujrzałem? Czy dłoń wyciągniętą znikąd dotknąłem? Czy spojrzenie uchwyciłem?

Palcami strony dziennika gniotłem, w siebie palcami chowałem. W jakimś impasie, na linii frontu staliśmy. Zawieszeni czasem, przestrzenią duszną zamknięci. Przez twarz Fethera przebiegły cienie, jakby teraz usłyszał słowa w mojej głowie chwilę temu wypowiedziane. Spojrzał na mnie oczami już nie łagodnie dobrotliwymi, już nie lekarza słynnego, przyjaciela Freuda z Wiednia. W głębie mroczną jego oczu zacząłem zapadać, tonąć.

- Zeszyt! - wyciągnął rękę palcami rozczapierzoną, szponami kruka we mnie orając bruzdami strach mój.

Cofnąłem się na ścianę, krzesłem stawiając mur obronny, Zbliźali się, otaczając mnie, on z jednej strony, siostra z drugiej. Ich twarze jakby rozplływając się, traciły wyrazistość dnia, a nocy chłód wydobywając.

- Zeszyt - powtórzył - należy do księgi twarzy.

Poczułem, jak się ślaniać na nogach zacząłem, chwiać tym wszystkim i zmęczeniem, chorobą jakąś mnie trawiącą, na ścianie oparcie jeszcze niepewne znalazłem. Bo nic już nie było pewne.

- Pożar! Pożar! - usłyszałem nagle, kątem oka dojrzałem jednego z pielęgniarzy, ogniem chyba rozświetlonego - Pali się poddasze, płomienie wysokie nad piętrem ostatnim bloku zachodniego. Tam, gdzie okna po trzy liczone - krzyczał w nas, w gabinet walką nierówną ogarnięty.

Profesor Fether odwrócił się w stronę pielęgniarza w drzwiach, powietrze łapiącego z trudem, siostra stanęła miejscem zatrzymana. Spojrzał jeszcze na mnie, na pielęgniarza, na siostrę, przez moment niezdecydowany. Jeszcze raz na mnie jak hiena pozbawiona padliny. Wybiegł odpychając pielęgniarza całą swoją wagą ciała i stanowiska, wybiegła siostra za nim. Pobiegł za nimi pielęgniarz.

Zsunąłem się na podłogę, oddech łapałem łapczywie. Zeszyt w dłoniach przy piersi trzymałem. Ołówek. Na kolana, zeszyt pod bluzę wsunąłem, ołówek

w kieszeń. Na czworakach do uchylonych drzwi dotarłem. Gdzieś dzwon zaczął bić na trwogę, czy to z miasta za murami, czy gdzieś tu. Szalony bił. Wziąłem siebie za koszulę szaleńca, wyjrzałem poza drzwi próg, korytarz pusty. Z piętra pierwszego, gdzie był oddział męski, dobiegały pospiesznie gwałtowne zamykania pacjentów w pokojach, zatraskiwane drzwi, krzyki protestu, bezlitosne rozkazy pod groźbą elektrowstrząsów. Czułem pulsowanie w sobie, na skroniach, krzyk splątany włosami, duszący się ich dymem, próbujący siebie wydostać, ze ścian zdrapać, w ścianach srebrną łyżeczką przejście wyskrobać. Słaniając się, dłońmi oparcia szukając po murach w ten głos szedłem. Nikogo nie spotkawszy, przez drzwi do ogrodu wyszedłem. Pamiętałem mgliście, że z ogrodu jeszcze drzwi gdzieś prowadzić musiały, a gdzie, być może na blok kobiecy, w drugie skrzydło. Tylko tam przecież ogrodzenie, zbliżyłem się stąpając pod ścianą. Głowę zadarłszy wysoko dostrzegłem dym czarny pokrywający część dachu, Wyciągnąłem rękę na spotkanie płotu oddzielającego mężczyzn i kobiety podczas jednoczesnego przebywania w ogrodzie, zdecydowany szukać przejścia. Powalić ten płot, cegła po cegle rozebrać. Lecz, ręka próżnię jedynie natrafiła, zamachnąłem się, powietrze tylko napotykać. Złudzenie? Omam, chytry podstęp. Przeszedłem wyciągając przed siebie ręce, nie wierząc zmysłom. Dotarłem pod ścianę, mając nadzieję, że to bloku kobiecego. Znalazłem drzwi, uchylilem, wsunąłem się do środka. Chaos dochodzący z góry, zdawał się większy niż na bloku męskim. Zacząłem wspinać się po schodach przytrzymując poręczy. Byłem już na półpiętrze, gdy tuż obok mnie przebiegła kobieta, przeskakując kilka stopni na raz. Koszula nocna rozerwana powiewała na niej, za nią. Potknęła się o strzępy materiału, wplątała się w nie gubiąc kroki, wzbila się do lotu, ściana twardością jej głowę przyjęła, ześlizgnęła się na stopnie krwawy ślad milczeniem zostawiając. Musiałem iść, wspinać się wyżej pchany jakby z głębokości ściśniętego gardła jakąś tęsknotą, jej wołaniem, czymś. Musiałem iść, ogarnięty chwilą, stopniom schodów spokój zabierać i wspinać się, wspinać. Dotarłem na czworakach na pierwsze piętro, za uchylonymi drzwiami panika zamkniętych w klatce istot. Niczym pies na czterech łapach, ścianą się wsparłem, bojąc się przekroczyć smugi światła padającej z bloku kobiecego. Krzyki i jęki, wrzaski bijące echem, czerwienią krwi, ognia. Prześcieradła, ciała zawijane, duszone, zwęglone. Ktoś dobiegł do drzwi, uderzył w niegwałtownie, głucho. Ktoś odepchnął, drzwi zatrzasnął. Skuliłem się, głowę przerażoną w ramiona schowałem w krzyku niemym.

*Stanął w ogniu nasz wielki dom
Dym w korytarzach kręci sznury
Jest głęboka, naprawdę czarna noc
Z piwnic płonące uciekają szczury*

Krzyczę przez okno czoło w szybę wgniatam
Haustem powietrza robię w żarze wyłom
Ten co mnie słyszy ma mnie za wariata
Woła - co jeszcze świrze ci się śniło

Więc chwytam kraty rozgrzane do białości
Twarz swoją widzę, twarz w przekleństwach
A obok sąsiad patrzy z ciekawością
Jak płonie na nim kaftan bezpieczeństwa

Dym w dziurce od klucza a drzwi bez klamek
Pękają tynki wzdłuż spoconej ściany
Wsuwam swój język w rozpalony zamek
Śmieje się za mną ktoś jak obłąkany

Lecz większość śpi nadal, przez sen się uśmiecha
A kto się zbudzi nie wierzy w przebudzenie
Krzyk w wytlumionych salach nie zna echa
Na rusztach łóżek milczy przerażenie

Ci przywiązani dymem materaców
Przepowiadają życia swego słowa
Nam pod nogami żarzą się posadzki
Deszcz iskier czerwonych osiada na głowach

Dym coraz gęstszy, obcy ktoś się wdziera
A My wciśnięci w najdalszy sali kąt
"Tędy!" - wrzeszczy - "Niech was jasna cholera!"
A my nie chcemy uciekać stąd.

A my nie chcemy uciekać stąd!
Krzyczymy w szale wściekłości i pokory
Stanął w ogniu nasz wielki dom!
Dom dla psychicznie i nerwowo chorych!¹⁷

Wypełzył ze mnie ten z dawna zapomniany, oglądany w ciemnej klaustrofobicznej sali kina miejskiego film. Zapulsował skowycząc filmowymi obrazami, "ostatni dzwonek" zabrzmiał, tekstem piosenki pod zaciśniętymi pięściami w oczy się wtoczył, przemówił krzykiem. Nie wytrzymałem, krzyczeć zacząłem, dusząc, dusząc się sobą, językiem w gardle

¹⁷ Jacek Kaczmarski - "A my nie chcemy uciekać stąd"

zamkniętym. Obrazami w głowie, słowami w umyśle. Wypełzła przeszłość, pełna duszących myśli, nieakceptacji mnie, siebie, przedmiotu zdarzeń. Skręconego depresyjnie pomiędzy chwilowymi przebłyskami jaśnienia, jaskrawości tej szukanej. Aż od pierwszego oddechu wyrwanego stalowej ciszy kleszczy, a każde ramię łyżką zakończone.

*Klinicznie białe kafle podłogi
czterech ścian
schodzą się w centrum jej przekleństwa
pulsującego czerwienią
wyplutego
życia*

Skulony krzyczałem wciąż pod ognia językami.

A ogniem płonęły jej zeszyty wierszami spisane, a on stos na środku podwórka usypał zachłannie i wrzucał gestem wściekłym obrazy farbami mrocznymi malowane w środek i ogień nienawiści podsyczał. I kazał, tak strasznie kazał patrzeć nam z szeroko otwartymi oczami. A ogień roznosił spopielone strzępy słów, a ogień rozjaśniał cienie w obrazach i zmieniał fakturę płócien. Bo cienie to zło, to zło, krzyczał on i padał na kolana i na klęczkach winę swą obnosił błagając o wybaczenie. A ona patrzyła trzymając mnie za rękę, usta zaciśnięte miała. A ona patrzyła trzymając mnie za rękę, w oczach łzy miała. I nie mówiła nic i nie odzywała się już nigdy więcej.

Zwęglonego mnie odnaleziono. Szufelką zebrano do wiadra. Rozsypano na trawie co czasem wzrastała w kości i myśli. Powoli sklejąc popiół w papier, papier w słowa, pisać zacząłem dalej.

*Przesiąknięty
bezwładnością
okno szpitalne mam
stalowoniebieskie
tam chmury białe
i kruki kołują*

Rentgen szepcząc wskaźnikami nie wykazał. Licznik Geigera łagodnie terkotał w obecności Madame Curie, tak jakby znali się od lat i wzajemnie akceptowali swoją obecność. Odwróciła się, w ołowianym fartuchu, który czynił ją kapłanem nowej religii. Spojrzała jeszcze raz na szklaną płytkę pokrytą światłoczułymi związkami srebra, w negatywie odczytując moją przyszłość.

- Niech Pan uważa na siebie.

Spojrzałem na nią z pytaniem niemym w oczach. Spuściła tylko wzrok.

- Niech Pan uważa - powtórzyła cicho.

- Co Pani ujrzała wśród tych promiennych powidoków?

Milczała chwilę zatapiając mnie w szumie maszynerii, obracających się kół odmierzających radioaktywnym węglem upływające sekundy milczenia i kroki w nieznanie.

- Kiedyś myślałam, że mam wpływ na swoją przyszłość, rozumie Pan? Nauka, ba ... potęga nauki, możliwości wyboru ... - zamilkła, by po chwili kontynuować zmęczonym głosem - niech Pan podejdzie - rozpałała atomowy stos, przez podane przyciemniane okulary dojrzałem chaos, cząsteczki nieznanego mi świata wpadały na siebie, odbijały od siebie, przenikały, tworząc i niszcząc. Jednocześnie jakaś większa struktura, w wnętrzu której trwał chaos pozostawała stabilnie nietknięta. Madame Curie podkreśliła coś na moich okularach. Obserwowany świat przesunął się do tyłu. Zobaczyłem jak dotychczas obserwowana stabilna struktura w chaosie swego istnienia walczy z innymi podobnymi strukturami, grupami, tworząc przypadkowość kolejnego świata. I znów Madame Curie zmieniła perspektywę, I znów, i znów. Za każdym razem przypadkowość chaosu tworzyła większą strukturę.

- Gdzie to się kończy? - kontynuowała - Czym my jesteśmy? Zderzamy się z sobą w przypadkowych fluktuacjach, bez żadnego wpływu na naszą drogę. Rzeczy się zdarzają Panie de Cades, a Pan jest tylko przedmiotem zdarzeń. A cały Pański świat jest tutaj - zatoczyła krąg murów otaczających i okien, ogrodu i korytarzy, dachu spadzistego i schodów, Doktora Tarra, Profesora Fethera katalogujących kolejne strony książki twarzy i dojrzałem też tych wszystkich wypełniających pokoje dymem płonących materacy.

Zapadły słowa w ciszy przygniatającej, z której wyrwał mnie dzwonek elektryczny, wulgarnie wdzierający się swoją bezdusnością. Drzwi się otworzyły skrzypnięciem, siostra, która mnie tu przywiozła na kolejne prześwietlenie, wzięła bez pytania wózek i potoczyła mnie zapomnianymi korytarzami, wilgotnymi ścianami, migającymi lampami zawieszonym niedbale pod sufitem.

Dowiedziałem się od siostry, że dziś niedziela. Nie pytałem już nawet o dzień, miesiąc również pozostawiłem mętnym rozważaniom karaluchów pod łóżkiem. A jeżeli niedziela, to po obiedzie wszyscy mają zalecone spacerowanie po ogrodzie. Zapytałem, czy może mnie siostra zawieźć wózkiem na dziedziniec. Nie chciałem przebywać sam na sam ze swoimi myślami. Siostra zatrzymała wózek tuż przy wyjściu na dziedziniec, gdyż ścieżki pokryte drobnym żwirem utrudniałyby pchanie wózka. Usiadła nieopodal w cieniu, mnie pozostawiając w słońcu opadającym tu sennie przez szklany dach.

Wokół rozchodził się zapach konwalii, które tu i ówdzie kwitły cudownie w swych wielkich kwiatach. Jakże przychylna odpoczynkowi panowała tu atmosfera. Poczulem ten sam stan spokojnej radości, stan miejsca, od którego nie chce się odejść, zupełnie jak za pierwszym razem, kiedyś. Przypomniałem sobie spacer wzdłuż ogrodu rozmowę z Jerzym, piłkę, która przeskoczyła przez płot, muzykę. Tym razem pod dachem altany, musiałem trochę się unieść by zobaczyć, przy chyba wręcz złotem inkrustowanej harfie siedział mężczyzna o ciemnych mocno kręcących się włosach, w białej koszuli. Jego palce zwinnie przeskakiwały między strunami błyszczącymi się w słońcu. Wsłuchałem się w dźwięki, cudne.

- Kto to jest? - zapytałem siostry siedzącej za mną w cieniu.

- Cicho - szepnęła, dotykając palcem wskazującym ust - to nasz Andreas. Mistrz harfy.

- Andreas - powtórzyłem, zapadając się w delikatne dźwięki.

- Tak, utwór "Behind the Garden"

Spod przymkniętych powiek, gdzie powidoki słońca i jego plamy unosiły się swobodnie, przypatrywałem się. Nie zauważyłem śladów niedawnego pożaru. Spojrzałem poprzez szklany dach na elewację skrzydła budynku tam, gdzie oddział kobiecy, wzrok powędrował pod dach, poddasze. Może to w związku z natarczywością słońca mimo już dawno minięcia południowego punktu na niebie, nie dostrzegłem żadnych uszkodzeń w połaci dachu, śladu ognia na elewacji. Chciałem zapytać siostry o ten ewenement, ale właśnie mistrz skończył grać, a zgromadzeni w ogrodzie wstali z ławek, koców rozłożonych na trawie, bijąc mu brawo. Rozpoznałem co niektórych, Edgara w odświętnym surducie, Iana w czarnej koszuli z wąskim kołnierzykiem, Franciszka z koszuli w kratę, Jerzego zapisującego coś na pogniecionej kartce. Wszyscy ubrani tak jak ich widziałem wówczas za pierwszym razem. Niedzielnie, odświętnie niczym na obrazach Maneta. Śniadanie na trawie przeszło mi przez myśl. Spojrzałem po sobie, tylko ja, w szpitalnej niebieskiej koszuli, z rękawami poplamionymi czymś brunatnym, może krwią. Harfista uklonił się jeszcze raz, po czym nagle platforma, na której stał zaczęła się obracać pod dachem altany ze zgrzytem kół zębatach pradawnych mechanizmów schowanych w jej wnętrzu. Zakończywszy obrót ukazała nam lustro wklęsłe, w którym odbijały się nasze oblicza zmierzające do centrum, w jeden punkt. Zza muru tego przedziwnego, którego magię unaoczniał mi swego czasu Jerzy, popłynęły dźwięki złocistej harfy i brawa dłońmi delikatnie kobiecymi unoszone w powietrzu nas łączącym, tak jakoś drżącym nagle, eterycznie, pachnącym niespodziewanie.

Mechanizm platformy, czy to droga? - pomyślałem i pomyślałem jeszcze - jeżeli miotamy się niczym te cząsteczki Madame Curie, a mimo to z tego wychodzi coś ponad nami, jakaś kolejna struktura, wszechświat magiczny, to

czy nie jest prawdą, że to co ma się wydarzyć, wydarzy się. Rzeczy się zdarzają - ktoś wyszeptał w mojej głowie - rzeczy się zdarzają, bez zabiegania o nie. Potoczyły się więc koła mego wózka, bez woli mojej żadnej, do pokoju - celi z oknem na dach przeciwległy, tam gdzie ..., leżałem wpatrzony w sufit czekając, czekając.

Około wpół do wieczoru, rozpoznawalnego jedynie cieniem nachodzącym na ścianę, do pokoju zajrzała głowa Franciszka, wycofała się. Uchwyciłem ten moment, zapisałem na źrenicy oka. Za chwile ręka w kraciastej koszuli machnęła zniknęła. Kawałek nogi w spodniach niebieskich. By znów ujrzeć głowę, twarz w rogowych okularach, która zaraz zniknęła za framugą drzwi.

Franciszku, co ciebie tu, do Maison de Saint sprowadziło? Jaki niepokój, przerywany zwątpieniem w siebie, skowytami i racjonalnością swego istnienia? Czy czułeś to co ja?

*Jestem tylko i niczym więcej
Relatywnie nieistniejący
ciężarem spojrzeń
błotem
zalegam w rowie przydrożnym
nade mną szumią wiadomościami
i słońce przestraszone odchodzi
szare chmury wątpliwości
jeszcze palcami jutro chwytam
lecz z słońcem odchodzi
lecz z słońcem odchodzi*

Po paru minutach nieokreśloności czasu Franciszek powrócił, usiadł na skraju łóżka, jego dłonie nerwowo gładziły nogawki spodni, wzrok błędził za okularów po pokoju, co chwila omiatając mnie niepewnie.

- Tak Franciszku? - zapytałem.

Spojrzał w kierunku drzwi, na mnie, wsunął rękę za koszulę, wydając mój zeszyt.

- Skąd? Skąd go masz? - nie mogłem uwierzyć, sądząc, że zgubiłem go w trakcie pożaru.

- Ukradłem z gabinetu doktora - podając, powiedział jakby zawstydzony.

- Jak? Jakim cudem? - Tarr musiał go znaleźć, rozmyślałem gorączkowo, musiał mi wypaść, może tam na schodach.

- Nie wiem, gdy wszyscy zaczęli biegać, krzycheć niczym uwięzione gołębie, gołębie w klatce, gołębie bez wyjścia - pokręcił głową - pożar, pożar, siedziałem w swoim pokoju, nienawidzę bardzo jak wszystko dookoła krzyczy

- przerwał zaczerpując powietrza - ktoś zatrzęsnał drzwi do mojego pokoju, ale wszystko nadal krzyczało, nawet moje ubranie, pożar, pożar. Jestem pewien, że widziałem krzyżące ubranie, spodnie, koszula, wiły się w sobie i ... widziałem - spojrzał na mnie, jakby sprawdzając, czy mu wierzę.

- Mów dalej – poprosiłem.

- Wcisnąłem się w kąt, zakryłem głowę, uszy, oczy uciekające i wtedy, dokładnie wtedy, gdy ogień podchodził, obejmując dymem materac, spopielone strzępy prześcieradła unosiły się nade mną, bolały mnie, mną, sobą krążące wokół punktu ciężkości zapadając się w grawitacji - wypluwał z siebie słowa.

- Franciszku.

- Tak, a ona przez ten dym, chyba, musiała przejść, stopy bosa miała, włosy niesforne w płomieniach, nogi stołu wtapiały się w podłogę, kręgi na wodzie kreśląc, może to olej rozlany, skrzydłami samolotów w kraksie podniebnej. Bracia Wright nie mieli racji, próbując dogonić ptaki.

-Franciszku spokojnie, spokojnie - powtórzyłem łagodnie, ręką zabandażowaną przytrzymując jego uciekające od niego dłonie w skrzydlate wspomnienia.

Dopiero gdy wzleciał trzepocząc skrzydłami na skraju łóżka siadając w kucki uspokoił się stopniowo, otarł krople wzburzone morzem strachu z czoła, poprawił plastikowe okulary na nosie

- Ona powiedziała: pomóż mu.

Żeby usłyszeć, nie słuchać.

Żeby zobaczyć, nie patrzeć.

Żeby wiedzieć, nie myśleć.¹⁸

- Wstałem wtedy - kontynuował Franciszek - wyszedłem z pokoju, korytarzem, gdzie wszyscy biegali, gdzie wszyscy krzyczeli, gdzie z za zamkniętych pokoi słyszałem dudnienie pięści uderzających w ściany płonące. Schodami w dół. Przy płycie nagrobnej z epitafium, tym reliefie w holu starym jak ściany ogniem zdjęte. Widziałem pielęgniarza na mnie wąskim korytarzem biegnącego, jakby przeze mnie, czy to możliwe, że nie zauważył, że przeze mnie?

- Nie wiem Franciszku.

- Dotarłem do gabinetu Doktora Tarr, drzwi otwarte po całej swej szerokości, zaprosiły do wewnątrz. Wsunąłem się. To miejsce, z tymi portretami, oczami śledzącymi, zastygłymi, księga twarzy równo na niekończących się półkach. Wtedy pod biurkiem dostrzegłem zeszyt.

¹⁸ William Wharton – „Ptasiek”

- Poczulem za sobą jakby oddech łagodny - kontynuował Franciszek - poczułem za sobą smutek tęskny, poczułem jakby wiatru łkanie, poczułem... Odwróciłem się, lecz nikogo nie było. Usłyszałem szept gdzieś tu - wskazał na serce - szmer, trzepotanie przedsionków literami drżącymi - usłyszałem, bym zaopiekował się, chronił twój dziennik. Podniosłem go i czym prędzej uciekłem do swojego pokoju, gnany czymś w korytarzach ukrytym, zimnym, twarzami drwiącymi, oczami nienawistnymi, schowałem pod siennik, gdzie trzymam pióro ptaka, skrzydło samolotu, do lotu, do wzlotu gotowe.

- Dziękuję - wyszeptalem po chwili wzruszony tym co zrobił, choć nie, to złe słowo. Tak naprawdę nie wiedziałem co powiedzieć, jak zareagować. Brakowało mi gruntu, po którym mógłbym twardo stąpać. Otworzyłem na chybił trafił dziennik, przekartkowałem z trudem poprzez bandaże, czując jakbym odzyskiwał część siebie, jakbym ... przesunąłem opuszkami palców po stronie ... odzyskał część czegoś co utraciłem dawno, dawno temu. Kartkując dotarłem do ostatniej zapisanej strony, następne dwie, trzy kartki ślady ognia na sobie nosiły, a krawędzie, dotknąwszy, popiół pokutny strzepnęły z siebie. - Dziękuję przyjacielu.

Patrzyłem za odchodzącym Franciszkiem. Zsunąłem się z łóżka, zeszyt muszę gdzieś ukryć, myślałem usilnie. Na razie tu, pod materac. Z trudem go podnosząc, siły mi brakowało, siły nie starczyło. Jeszcze raz spróbowałem. Klęcząc obok łóżka, jedną ręką podnieść, utrzymać w górze by wsunąć, bezsilny. Nagle czyjaś wielka ręka podniosła materac, spojrzałem nad siebie przestraszony, pielęgniarz, ten wielki Indianin, stojąc niczym słup w milczeniu wskazał ruchem głowy. Włożyłem pod materac dziennik. Opuścił materac, odwrócił się, wyszedł. Bez słowa, nie wyjaśniając, bo czy ten z pozoru ślepy ciąg zdarzeń można wyjaśnić?

Ty, tam ... jesteś ...

A jeżeli ...

*Drogi nie istnieją
wyjścia bez wyjścia
ręce co podniosą
słowo
uścisk dłoni
niczym dotyk domokrażcy
sprzedającego złudzenia*

Nie myśleć, nie myśleć, ja proszę siebie nie myśleć, w wątpliwość nierzeczywistość ubierać, a rzeczywistość tytułować szaleństwem. Krzyczały

we mnie podkulone nogi, krzyczały we mnie obejmujące mnie ramiona, krzyczało we mnie ciało embrionalnie zamknięte. A jeżeli Tarr domokrażca, a jeżeli Fether domokrażca sprzedający złudzenia, a jeżeli tę historię piszą, nożem ryjąc w drewnie martwym osnutym papierem i to w ich dzienniku jestem tylko przedmiotem obserwacji?! Może tabelką, z kilku plusów i jeszcze większej liczby minusów, wykresem depresyjnie sięgającym dna?! A może - te ich księgi twarzy - tak równo na półkach stojące?! A może każdy tu, ma taką księgę i w niej toczy się jego życie?! A może ... Madame Curie też o tym mówi, te jej struktury, grupy, w których wszystko się zderza, pozorny czy niepozorny nieporządek. A może ...

- Rany ogniem zadane goją się wyśmienicie - powiedział lekarz któregoś następnego dnia oglądając dłonie po zdjęciu bandażu. Tak, chyba. Przestałem liczyć dni, przestałem odnotowywać nazwy umowne czasu, jeszcze tylko wschody i zachody słońca cokolwiek znaczyły.

- To chyba dobrze - wybełkotałem z pustką myśli w gardle pękata.

- Bardzo dobrze, Profesor osobiście prosił abym Pana doprowadził do stanu zdrowia - po chwili jeszcze zerkania na strzałkę ciśnieniomierza dodał - chyba bardzo mu zależy, aby Pan wrócił do zdrowia, wrócił za mury.

- Wrócił ...

- No tak, przecież tam na pewno ktoś na Pana czeka, rodzina, praca, znajomi. Próbowałem sobie to wyobrazić, przypomnieć, poczuć - próbowałem ...

-Kiedy? - wycharczałem nagle wysuszonym językiem pełnym narastającego strachu.

- Z mojej strony to wystarczą góra dwa, trzy dni na zagojenie, ale wiadomo, że decydujący głos będzie miał Profesor Fether lub Doktor Tarr. Tylko oni wyjechali i nie wiadomo, kiedy wrócą.

- Dwa, trzy dni - powtórzyłem głucho odbijając się głosem o ściany pokoju, gdyż lekarza już nie było.

Chciałem, ale nie mogłem nie myśleć. Franciszek, Indianin, dlaczego? Dlaczego ja?

Dwa, trzy dni.

Trochę jeszcze bez siły, szurając nogami wyszedłem z pokoju. Świetlica rozbrzmiewała głosami. Pojedynczo, po paru, stali, siedzieli, rozmawiali, grali w chińczyka, warcaby. W rogu sali przy rozstawionych sztalugach trzech malowało obrazy, pod baczynym okiem jednej z sióstr. Podszedłem przesuwając się wzdłuż ściany, by być niezauważonym dla siebie i innych. Jednym z malarzy był Jerzy. Stałem za nim, nabrałem powietrza wyduszając z siebie.

- Las? - zapytałem go wskazując na zieloną plamę unoszącą się nad setką czarnych kresiek.

- Las - odpowiedział Jerzy.

Przyjrzałem się bliżej. Prawie wszystkie, poza jednym drzewem, miały pomiędzy pniem a zieloną koroną, białą plamę, pustkę, przestrzeń bez oddechu. Natomiast jeden pień, wyciągając ramiona, zagłębiał je w zieloną przestrzeń, jakby sięgał dalej, sięgał nieba, życia.

- Dlaczego tak?

- Jedynie on, może ona, nie wiem, drzewem wśród pni. Pni, którymi jesteśmy, którymi się staliśmy.

Spojrzałem w jego oczy.

- Bo nie sięgamy nieba już - kontynuował - widzimy je jedynie nad sobą. Daliśmy sobie podciąć skrzydła, ściąć ramiona żyjąc tak, jak wymagają tego inni.

- Więc kim jesteśmy? - zapytałem Jerzego i pomyślałem o sobie, o sobie w molochu poświęcającego za zgodność z oryginałem, z rzeczywistością, z jaką rzeczywistością.

- Niczym. Wszystko jest złudzeniem, czymś wmawianym sobie.

- Wszystko? Ale to jedno drzewo na twoim obrazie wydaje się przecież inne, czy ...

- Nadzieja umiera ostatnia - uśmiechnął się smutno - ale czy ona nie może być również złudzeniem.

- Jakiś czas temu, jak rozmawialiśmy w ogrodzie, wydałeś mi się w lepszym nastroju.

- To było dawno temu - westchnął.

- A zresztą - machnął ręką jakby się od czegoś odganiał - słyszałeś już zapewne o księdze twarzy Profesora Fethera.

- Księgach - przypomniałem sobie widok gabinetu doktora Tarr.

- Księdze czy księgach, nie ma znaczenia. Każdy ma księgę twarzy, a każda księga jest w jeszcze większej księdze. I widzisz podobno każdy tworzy sobie taką księgę, tworzy w niej obrazy, pisze, tworzy siebie.

- I co? - zapytałem nie rozumiejąc związku z drzewami z obrazu.

- Ano, potem bierzesz sobie taką czyjąś księgę, czytasz, oglądasz, wydaje ci się, że rozumiesz tę osobę, nagle spostrzegasz, że ją kochasz, chcesz może jej pomóc, a po jakimś czasie okazuje się, że to tylko złudzenie. Omam. Bo pojawia się kolejna księga i kolejna, a tobie się wydaje, że jakieś fragmenty już czytałeś w tej pierwszej księdze, że niektóre są podobne, ale przecież inne. Wszystko się miesza. Podwójne, potrójne osobowości. A przecież tak nie można ... I nagle stwierdzasz, że chciałeś zbudować operę w środku amazońskiej dżungli, mając tylko stary gramofon, niczym ten cholerny Fitzcarraldo. I dookoła tylko błoto, bagno wciągające, szlam cuchnący.

- Tylko ta miłość wypisywana jako przyczyna przez Doktora Tarra na karcie choroby w dniu przyjmowania kolejnych podopiecznych – zauważyłem, choć żadnej mocy sprawiania cudów w tym nie widziałem.

Zapatrzyłem się w okno, z którego widać było fragment pustej ulicy, część tamtego świata. Wiatr wzbił do lotu strzęp gazety, zaszurał kurzem po bruku. Żadnego życia. Odwróciłem się do towarzyszy wzrokiem od twarzy do twarzy błędząc, oczekując wyjaśnień, słów rozjaśniających.

Daremnie, gdyż każdy tu drzewem się staje i nieba swego próbuje na swój sposób dotknąć.

A moje niebo?

- O tu Pan jest - sympatyczny głos zza moich pleców, dłoń spoczęła na ramieniu, popchnęła w stronę Iana, Andy'go i Edgara, stojących pod ścianą w szeregu - zapraszam do rozmowy.

Przypomniałem sobie, siostra Małgorzata i ta dziwna rozmowa w sali za niskimi drzwiami w pierwszych dniach pobytu mojego. Czy to nie od niej wszystko się zaczęło?

Poprowadziła nas, jak wtedy do małej salki, która mieściła się na końcu świetlicy, za małymi drzwiami ledwo widocznymi w ścianie. Prawie każdy przechodząc przez nie musiał się schylić. Nad drzwiami znajdował się maskaron o twarzy dość puciołowatego dziecka z za dużymi uszami, pełnymi zasłyszanych słów.

Znów przywitały mnie zakończone owalnie tryptykiem arkadowe okna gotyckie przedzielone słupkiem każdy. Znów panował tu upał, choć wydawało mi się patrząc chwilę wcześniej przez okno świetlicy, że raczej chłodniej się staje na zewnątrz. Krzesła ustawione tak jak wtedy okręgiem, kotary na ścianach i oknach, czyniące półmrok, nadawały temu miejscu jakieś okultystyczne imaginacje. Usiedliśmy na wskazanych miejscach, niektóre pozostały puste. Pamiętałem, że wówczas był tu z nami Franciszek. Chciałem zapytać o to, siedzącego obok, z jakąś nieodgadnioną desperacją.

Już miałem otworzyć usta, lecz Edgar pokiwał tylko głową, jakby czytając w moich myślach. Z oczu może wyczytałbym więcej, gdyby nie odwrócił w pośpiechu wzroku.

- Witam Panów na rozmowach - siostra Małgorzata usiadła wyprostowana, składając dłonie na podołku. Faktycznie musiała być dość młoda, młodsza od nas, zwłaszcza że w pamięci miałem jej wyuzdany, tak to chyba dobre słowo, obraz z poprzedniej rozmowy. W pamięci też miałem przeistoczenia mówiących i te dziwne zachowania, słowa, które zapadły we mnie jakoś głęboko nieoczekiwanie, jakoś dotykając mnie, łamiąc granice rozsądku, którym kierowałem się przez te wszystkie bezpieczne lata.

Pamiętałem też swoją ucieczkę tracąc grunt w zmiennych przedmiotach odniesienia.

- Cieszę się, że Pana ponownie widzę - skierowała spojrzenie na mnie poprzez swoje okulary w okrągłych oprawkach - ostatnio nie dokończyliśmy naszej rozmowy.

- Właśnie - zawtórował jej niespodziewanie Edgar wyrwany jakby z półsnu.

- Panowie się już przedstawili - zatoczyła ręką, a ubrania trzech pozostałych zmieniły się z bezimiennych zielonkawych pidżam, tych mundurów rzeczywistości, w stroje odzwierciedlające, właśnie, właściwe co? Ich czasy, ich osobowości, ich indywidualizm, ich szaleństwo, czy może moje szaleństwo? Tak było też za pierwszym przecież razem. Tak stało się i teraz.

- Właśnie - powtórzył Edgar - kim Pan jest Panie de Cades?

- Odwagi - próbowała zachęcić łagodnym głosem siostra Małgorzata - to pomaga.

I znów stawała się Małgorzatą, tą Małgorzatą Nikołajewną, już nie tamtą, już nie siostrą zakonną, opiekunką potępionych, siostrą miłosierdzia, lecz gospodynią balu, pijącą krew naszą i waszą, w imię miłości, już nie kobietą przy mężu łagodną, choć przecież dostatnie życie wyższych sfer, lecz kochającą pisarza palącego rękopis każdego wieczoru, by nad krwistym ze słońca rankiem, w postrzępionych kartkach wspomnień składać rękopis w całość. I tak każdego dnia.

- Niech się Pan nie boi - patrzyła wielkimi oczami, figlarnie nie pasującymi do dziesięciu przekazów z Góry Synaj i głaszcząc czarnego kota przygasła jednym skinieniem wysmukłej dłoni resztki światła snującego się mgłami zza gotyckiego okna.

Pociemniało wtedy wśród nas jeszcze bardziej, jeszcze gęściej, krzesło uwierało swoją tożsamością martwego drzewa, powietrze wisiało dusząco, milcząc nerwowo. Zagęściło się, rozmazując twarze zgromadzonych.

Oplotły mnie ramiona kaftana, bezsilny byłem, słony smak potu, gorzki smak tabletek na podniebieniu, język powietrze zagarnął, zacząłem słyszeć usta swoje mówiące z trudem, przerywanymi słowami, ze mnie urodzonymi, ze mnie kleszczami lśniącego pustych uczuć się wydobywającymi:

*Urodziłem się w domu dla obłąkanych
wypełnionym skowytym Allena G
po brzegi zakratowanych oczodołów
i drzwi donikąd
matka
nienasycona pusta ostryga
obracająca w nicość koraliki różańca
tańcząca samotnie
w niekończących się korytarzach Maison de Sante*

*ojca nie znałem
może to bóg spod siódmego
z twarzą krzyżącego Muncha
i odwiecznym pytaniem - co ja takiego stworzyłem?
może to stalker jurodiwy
pełen grzesznych wad
na skraju drogi do komnaty obietnic
może ...*

*ale po co ja to pani mówię?
pani się uśmiecha
pani kręci głową
pani mi nie wierzy?*

*śmierć tylko się uśmiechnęła drwiąco
wzięła delikatnie w ramiona*

Siostra Małgorzata, ku której przypełzłem na kolanach, Małgorzata Nikołajewna wzięła mnie delikatnie w ramiona. Przytuliła drżącego, klęczącego. Dłoń położyła na głowie, głowę pozwoliła na kolanach położyć. palcami głaszcząc mój strach. Oplotłem się wokół niej niczym rozbitek niewinny wśród winnych. Słyszałem jeszcze gdzieś z boku terkotanie kamery Andy' go, bezosobowe, bezsłowne, niemo rejestrujące obraz.

- Mów - poprosiła

- Mów - powtórzyła łagodnie

Niespodziewanie, Ian zerwał się z krzesła, upadło rozdzierając powietrze skowytem. Jego epileptyczne ruchy, jego taniec do muzyki rozbrzmiewającej tylko w jego i tylko w mojej głowie, człowiek w ustawicznym zagrożeniu na krawędzi, człowiek krzyczący sobą swoje rozdwojenie.

*In fear every day, every evening
He calls her aloud from above
Carefully watched for a reason
Painstaking devotion and love
Surrendered to self-preservation
From others who care for themselves
A blindness that touches perfection
But hurts just like anything else*

Isolation, isolation, isolation

*Mother I tried, please believe me
I'm doing the best that I can
I'm ashamed of the things I've been put through
I'm ashamed of the person I am*

Isolation, isolation, isolation

*But if you could just see the beauty
These things I could never describe
These pleasures a wayward distraction
Is this my one lucky prize?*

Isolation, isolation, isolation¹⁹

Spojrzałem w stronę Ian'a, spojrzałem na siebie, widziałem tylko siebie. Na kolanach, z twarzą na powrót w ramionach Małgorzaty Nikołajewnej szeptałem niczym spowiedź u bram miłosierdzia.

*Gdy miałem czternaście położył na mnie pierwszy kamień
nie wypominam wręcz jestem wdzięczny
dostrzegłem jego świat od którego już się nie uwolnię
dostrzegłem serce i duszę (jedno z nich spłonie)
dostrzegłem przemijające dekady i sens rozmów bez końca
teraz leżę u bramy cmentarza
patrzę na kwiaty powalone deszczem
patrzę z dołu na osuwające się kamienie*

Jeszcze nie przebrzmiały słowa moje, jeszcze cisza dźwięczała przygnębiona, gdy Edgar, ten Edgar co tak bardzo historii mojej dzieje rozświetlić chciał, powstał powoli z krzesła, poprawił surduta klapy. Spojrzał w moją stronę, spojrzał w siebie, widział tylko mnie.

*Noc już była, północ zgoła; rozmyślałem w pocie czoła
Nad trwożliwą tajemnicą z dawna zapomnianych ksiąg,
Przysypiając niespodzianie, gdy rozległo się pukanie,
Jakby ciche chrobotanie w mój samotny, senny dom.
"Jakiś gość", powiadam sobie, "w mój samotny stuka dom,
Nocny gość - i tylko on".*

Ach, dokładnie to pamiętam: zima, grudzień, noc posepna,

¹⁹ Ian Curtis / Joy Division – „Isolation”

Ogień, co dogasał w mękach, stał na ziemi legion zmor.
Nagle zapragnąłem świtu, wiedząc, że już nie wyczytam
Z ksiąg pociechy i dosytu po najmilszej mej Lenore!
Tej, o której aniołowie jedni mówią dziś - Lenore -
Ja już nigdy! *Nevermore!*²⁰

Zaczerpnął powietrza, ja otarłem językiem spierzchnięte wargi, przeczuwając
ciąg dalszy, jakby gdzieś już ulotnie widziany, zapamiętany, zapomniany.

Martwą ciszę wierząc wzrokiem, nie ruszyłem się ni krokiem,
Tylko drżałem, śniąc na jawie sny o jakich nie śnił nikt.
Ciemność była niewzruszona Cisza była niezgłębiona.
Tylko ciszy szept - "Lenora!" - zjawił się i zaraz znikł.
To mój własny szept - "Lenora!" - echo oddawało mi.
Echo. Ciemno. Nocne mgły.²¹

Padłem na kolana przed Małgorzatą Nikołajewną, dłoń wyciągniętą
uchwyciłem, ścisnąłem jej dłoń usilnie, palce gotyckich wież, krużganki
kamieniem milczącym usłane.

Wtem w powietrzu gęstym, parnym - woń kadzideł niewidzialnych;
Puch kobierca stopą smukłą musnął Seraf, co je niósł.
"Przez anioły, znaki święte, Pan Bóg zsyła ci nepenthes!"
- zawołałem w głos - "Nepenthes, byś zapomniał o Lenore!
Pij, nieszczęsny, pij nepenthes, i zapomnij o Lenore!"
Kruk mi na to: "Nevermore!"

"Mów, Proroku z piekła rodem! Czyś jest bies, czy bestia z dziobem,
Czy Kusiciel, czy kurzawa śle cię tutaj na mój próg
- O! Sterany, lecz nietknięty! - na bezludny ląd zaklęty,
Na ten dom mój grozą zdjęty - mów mi prawdę, błagam, mów:
Czy jest balsam w Gileadzie, abym ją zapomnieć mógł?"
"Nevermore!", zakracze Kruk.

"Mów, Proroku z piekła rodem! Czyś jest bies, czy bestia z dziobem,
Na to niebo wysklepione, gdzie nasz wspólny mieszka Bóg -
Czy w Edenie Żyje ona? I czy wezmę ją w ramiona,
Tę, o której tylko anioł po imieniu mówić mógł?
Moją świętą, jasną, czystą, gdy w Edenu wejść próg?"
"Nevermore!", zakracze Kruk.²²

²⁰ fragment poematu Edgar Allan Poe - "Kruk" w przekładzie Jolanty Kozak

²¹ fragment poematu Edgar Allan Poe - "Kruk" w przekładzie Jolanty Kozak

²² fragment poematu Edgar Allan Poe - "Kruk" w przekładzie Jolanty Kozak

„Nevermore” Edgar wykrzyczał moimi sinymi ustami. Twarz w grymasie, blada, bólem zdjęta, twarz niczym obraz z galerii Edwarda Muncha na pierwszym piętrze z takim pietyzmem odkurzanej co blady świt przez siostry pod baczynym okiem Doktora Tarra.

*Zamilkł po tej odpowiedzi i wciąż siedzi, i wciąż siedzi,
Na Pallady biuście bladym; nad nim lampy złota kruż
Szklanym wzrokiem w dal wpatrzony, niczym demon rozmarzony;
Na podłogę cień dziobaty rzuca lampy złota kruż,
Cień, co duszę mą nieszczęsną, jak posepny srogi stróż,
Więzić będzie - zawsze już.²³*

Cisza zapadła wypełniona głuchym terkotaniem mechanizmu kamery. Tyrk-Tyrk-Tyrk. Tyrk-tyrk-tyrk. Andy z kamerą przy oku, milcząc wyraźnie zafascynowany otaczał nas okręgiem niczym planeta wokół gwiazdy, jedynie mechanizmem kamery przybliżając i oddalając obraz, nasze twarze, postacie zamarłe, cienie umykające w spojrzeniach, jakby bojąc się wpaść w grawitację tego zjawiska objawionego na nieboskłonie obłędu.

Moja twarz na podolku Małgorzaty Nikołajewnej, wtulona, przyciśnięta, wciśnięta, czułem wilgotną jej słodycz w każdym szybkim i coraz wolniejszym oddechu. Czułem unoszący i opadający wzgórek tuż przy moich ustach. Językiem czując niemal smak. Jej palce wczepione w moje włosy, ja na kolanach przed nią, moje dłonie na jej udach lekko rozsuniętych. Napięcie moje, jej drżeniem.

Szeptem, jej muszli szum układał fale przyplływów, szeptałem oczami nie widząc.

*A jeżeli
nas nie ma
jeżeli tylko sobie siebie śnimy
w pokojach bez mebli
z dusznymi oknami
i piórami gołębi
A jeżeli
szeptu bez adresu
zdjęcia wycięte z gazet
polubione w pośpiechu
zapomniane wczoraj
wkłęstymi zwierciadłami
a jeżeli ...*

²³ fragment poematu Edgar Allan Poe -” Kruk” w przekładzie Jolanty Kozak

dlatego
u kresu siebie
twoje imię
na ścieżce milczącej
powierzam
spadającym gwiazdom
i koślawym literom
dziennika

Zamilkłem.

Ian w swoim tańcu epileptyka coraz wolniejszym, coraz spokojniejszym, powietrze zagarniając do siebie rezygnacją, oczami już nie widząc rozdroży wyborów bez wyboru. W jego ustach bladych, Annik chyba odczytałem i koniec liny oplątanego wokół wieszaków na ubrania pod sufitem sylabami powiewający.

Edgar jeszcze ściskając poły surduta dłońmi sinymi, jeszcze bezdźwięcznie ustami szepcząc nevermore, nevermore.

- Taśma się zerwała - przerwał niespodziewanie ciszę Andy swym niepewnym niczego głosem, głosem jakby cały czas przepraszającym za siebie. Małgorzata Nikołajewna odtrąciła moją głowę od swoich grzesznych myśli, otrzepała siebie ze mnie jak pył nieistnienia, wygładziła materiał już nie sukni czarnej balowej, a habitu skromnego. Kątem oka dostrzegłem czarnego kota, przechadzającego się między krzesłami.

- *Jedyne, co może uratować śmiertelnie ранego kota – odezwał się kot - to maleńki łycalek benzyny – i, wykorzystując zamieszanie, przypiął się do okrągłego otworu w prymusie i napił się benzyny. Krew natychmiast przestała się sączyć spod jego lewej przedniej łapy... Kot poderwał się, żwawy i rześki, porwał prymus pod pachę, śmignął wraz z nim z powrotem na kominek, a stamtąd rozdzierając tapety wlaźł na ścianę, mniej więcej po dwóch sekundach znalazł się wysoko nad wszystkimi i zasiadł na metalowym karniszu.*²⁴

- Spokojnie - zareagował Edgar, który szybciej widać doszedł do siebie - to tylko kot, którego tu nie ma.

- Ta nie ma - odezwał się czworonóg spoglądając na nas z wysokości swojego nieba. Zeskoczył z gracją tuż pomiędzy, ogonem machnął.

- *Seans skończony! Różnij pan marsza, maestro! - ziewnął i zniknął w powietrzu.*²⁵

Spojrzeliliśmy po sobie. Siostra Małgorzata pierwsza, my za nią jeden za drugim opuściliśmy to miejsce, ten czas przedziwny. Niczym konspiratorzy bez słowa, na sygnał rozdzieliliśmy się za drzwiami. Stałem przy oknie tym co poprzednio, wzrok utkwilem w nieistnieniu. Zapatrzyłem. Siebie odkrywając od początku, siebie przeczuwając w nich,

²⁴ Michaił Bułhakow - "Mistrz i Małgorzata"

²⁵ Michaił Bułhakow - "Mistrz i Małgorzata"

choć nie rozumem ogarniając, a tylko czując. Ciebie czując w nich, w sobie i przecież to nie przypadek ...

Pora kolacji być to musiała, po omacku myślami zaprzątnięty, objając się już o siedzących przy stołach, dotarłem do swojego stolika. Patrzyłem nieprzytomnie, jedzenia nie dotykając. Rozmowy nade mną się toczyły, gdzieś obok i przed. Odnalazłem wzrokiem Iana, odnalazłem Edgara. Może mi się zdawało, ale ich nieobecność była moją nieobecnością, ich milczenie było moim. Byliśmy jakby jednym, trójcą zagubioną.

Wracając do pokoju, z biurka siostry strażniczki, tej co siedziała niezmiennie od kiedy tu przybyłem przy drzwiach z oddziału prowadzących, wziąłem ołówek, tam przez nią przez nieuwagę pozostawiony. Zresztą, gdzie ona? Czy wyszła na chwilę? Zaprawdę jakieś rozpasanie zapanowało tu pod nieobecność Doktora Tarra i Profesora Fethera, o której wspominał lekarz przy zmianie bandażu.

Schowałem się w pokoju, zeszyt wyciągnąłem, spisywać zacząłem, litera za literą, zdanie za zdaniem, w końcu ja, jedyny przedmiot zdarzeń. Tak, przedmiot, jedynie przedmiot przesuwany to tu to tam ... bez znaczenia, chyba że może ty ...